



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



PIERWSZA PONOWA.

—*~*~*

Pierwsza ponowa,
Las i dąbrowa,
Sliczny dziś wskażą trop.

Nie tracąc czasu,
Dalej do lasu,
Na konie! hej! hop! hop!

Pieski na smyczy,
Chciwe zdobyczy,
Wzrok wytężają w dal.

Tam koło krzaka,
Widzą szaraka,
Kto bliżej, pal go, pal!

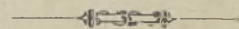
Sarna pomyka,
Trwożna i dzika,
Co za szczęśliwy traf!

Man ją na oku,
Już zwalnia kroku,
Ach moja już: paf! paf!

Jeleń podąża,
Ostęp okrąża,
Lecz sfora za nim tuż.

Ha! dzielne psiaki,
Choć on gracz taki,
Nie ujdzie z życiem już!

E. L.



Czego nas ucza kamienie i jak je zbierać?

skreślił

M. HEILPERN.

II.

Lecz skąd wziąć minerały do naszych zbiorów? W każdym ogrodzie, w każdym polu, lub lesie, na każdej łące mamy przed sobą mnóstwo różnych roślin i zwierząt, o kolekcję więc istot żywych nie trudno, lecz po kamienie, prócz zwykłych polnych, które wydają się wszystkie jednakowymi, trzeba by chyba udawać się gdzieś daleko; takby przynajmniej się zdawało.

Nie tak to jednak trudno, jak się wydaje. Na początek można ułożyć sobie małą kolekcję minerałów, nie wychodząc nawet z domu, w którym mieszkamy. Dziwicie się temu, ale tak jest istotnie i to powinno nas tem bardziej zachęcić do zebrania takiej kolekcji. W jakimże domu nie znajdzie się bowiem np. kawałek kredy, kawałek marmuru z rozbitego przycisku, czy innej rzeczy, kawałek gipsu, lub alabastru z figurki, czy popielniczki, może się też znaleźć np. kamień litograficzny, czy inny wapien. Chyba nie trudno też będzie o kawałek szyfru ze zniszczonej tabliczki szyfrowej, o kawałek kredki używanej do rysowania, lub o inny gatunek gliny, a także o kawałek grafitu, z którego się robią ołówki, a może nawet o kawałek malachitu, agatu, lub t. zw. „kocięgo oka,” z których się często robią spinki, broszki, rączki do pieczętek, przyciski, wazoniki i t. p. przedmioty. Niewątpliwie znajdzie się też kawałek bursztynu, kawałek pianki morskiej, z której się wyrabiają np. białe fajeczki do cygar, kawałek kredki do pisania na zielonem suknie stolików do kart, lub też kredka używana przez krawców (kredy te nie są zwykłą kredą, lecz odmianą pewnego minerału, zwanego talkiem). Znajdziemy też pewnie w domu kawałek miki w postaci cienkiej, giętkiej bezbarwnej, a przezroczystej blaszki, z której się robią młynki nad szkłem od lampy, szbiki w latarenkach do choinek, lub w pudełkach z papierosami; nie trudno będzie też może o jakiś nawet droższy kamień, np. heliotrop, ametyst, turkus, topaz, szafir, jeżeli nie o dyament lub korund, a także o kawałek wosku ziemnego, o kawałek piaskowca z oselki do szlifowania noży i o jakieś metale np. złoto, srebro, miedź, ołów, cynk, rtęć i t. p. A jeżeli nawet wielu z powyższych przedmiotów w domu nie będzie, można jednak niektóre napewno znaleźć, rozpytując się o nie w innych domach znajomych.

Prócz powyższych, może niekiedy nieco rzadszych, w każdym chyba domu znajdziemy już napewno węgiel kamienny, lub brunatny, może nawet kawałek antracytu, lub torfu, trochę piasku, szmerglu, używanego do czyszczenia i ostrzenia noży, trochę nafty, soli kuchennej i mnóstwa innych minerałów. Poszukując pomiędzy kawałkami węgla kamiennego, napotkamy napewno na kawałki pokryte znanym wam żółtym, błyszczącym, jakby złotym nalotem, który jest znów osobnym minerałem, albo na kawałki węgla przerosłe białym kamieniem (kalcytem, czyli szpatem wapiennym). Czyż dom nasz nie jest istotnie małym gabinetem mineralogicznym, jakkolwiek wiele minerałów w nim, zwłaszcza metale, zostały już przerobione i oglądzone w części ręką ludzką.

Bardzo niewielkim kosztem można dopełnić powyższy zbiór jeszcze minerałami, które nabyć łatwo w każdym składzie aptecznym, gdzie za kilka groszy dostać można kawałki talku, pumeksu, siarki, żelaziaka czerwonego (rudę żelaznej, zwanej inaczej hematytem), braunsteinu, (pyroluzitu), lawy, topnika (flusspatu), azbestu, antymonitu, ochry, auripigmentu, realgaru, boraksu, soli glauberskiej, soli gorzkiej, salmiaku, alunu, saletry, magnezytu, siarczanu, miedzi i t. p. Jakkolwiek i tu niektóre z ostatnio wymienionych minerałów uległy już sztucznej przeróbce, a nawet są często wyrobem fabrycznym, jednakże przydać się mogą do poznania własności tych ciał,

opisywanych w mineralogii (talk, pumeks, hematyt, lawę i wiele innych znajdujemy w sklepach w stanie naturalnym).

Poszukiwania prostszych minerałów w stanie i położeniu takim, w jakim je znajdujemy w naturze, również nie przedstawia trudności. Dość poszukać na początek na szosie, gdzie rozbijają kamienie na szaber do wysypywania drogi, aby na każdym kroku znaleźć granity, gnejsy, syenity, porfiry, piaskowce, gramatyt (t. zw. kamień żydowski), lub nawet czasem kawałki granitu, zawierające w sobie granaty. Pomiedzy zaś żwirem, leżącym na brzegu, lub na dnie rzek i strumieni, lub pomiędzy kamykami, którymi wysypują aleje w ogrodach, znajdziemy mnóstwo różnej barwy kwarcu, krzemienia, kamienia probierczego, kawałki szpatu polnego (skalenia), albitu i t. d. Nie trudno też chyba o różne gatunki gliny, marglu, wapieni, o rudy żelazne, w które tak obfituje nasz kraj, o różne t. zw. zlepience (konglomeraty), a także o kawałek asfaltu i t. d.

Nie będę wyliczał więcej, bo i tych przykładów dość chyba, żeby się przekonać, iż na początek można istotnie łatwo stworzyć sobie dość obfity, z jaką setką przynajmniej okazów obejmujący, zbiorek najzwyklejszych wprawdzie, lecz zarazem i najważniejszych dla nauki minerałów. Dopiero, gdy taką podstawę kolekcji zdobędziemy, należy dążyć do stopniowego powiększania jej i dopełniania, o ile wypadek nadarzy, okazami rzadszymi, korzystając z każdej sposobności zdobycia nowego okazu drogą zamiany, lub kupna, z każdej wycieczki w dalsze, zwłaszcza górzyste miejscowości, ze zwiedzenia miejsca, w którym rozkopują ziemię pod tor drogi żelaznej, lub pod budowlę, albo kanał, ze zwiedzenia wybrzeża morskiego, lub jakiejs kopalni, albo groty i t. d.

Każdy okaz w kolekcji należy opatrzyć w numer kolejny wypisany na drobnym kawałeczku papieru, przyklejonym laskiem do okazu; w osobnym też zeszycie zapisać należy pod temiż numerami kolejnymi nazwę minerału i szczegóły, dotyczące jego własności. Aby ochronić okazy od kurzu, należy je przechowywać w pudełkach (np. w pudełkach od papierosów), a dla porządku układane być winny grupami, tak aby podobniejsze do siebie z cech głównych, stanowiące jakby jedną naturalną grupę, leżały przy sobie. Np. w jednym większem pudle przechowywać tylko kamienie, w innem gatunki gruntu (np. gliny, piasek i t. d.), w innem znów minerały wapienne (np. wapienie, szpat wapienny, kredę, marmur, kamień litograficzny, gips i t. d.), w jeszcze innem same sole (np. sól kuchenną, saletrę, alun, boraks, sól glauberską, salmiak i t. d.), w osobnem znów metale (np. złoto, srebro, miedź, ołów, rtęć i t. d.), wreszcie oddzielne pudło przeznaczyć na węgiel kamienny, węgiel brunatny, torf, bursztyn, asfalt, naftę, siarkę i inne ciała palne.

Wiadomości o ważniejszych minerałach podamy później gdy już czytelnicy „Wieczorów” sporządzą sobie choć małe zbiorki, na którebyśmy się mogli w dalszym ciągu powołać. Czy jednak naprawdę sporządzą? Zobaczynmy.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— I zainteresujesz się owadami — dodał Halm, żaży-
wając poważnie tabaki; — entomologia, to najpiękniejsza nau-
ka, moje dziecko, pomyśl tylko jakiebyś doznał przyjemności,
gdyby ci się udało znaleźć nowego motyla. Odkrycie takie, jak
sądzę, posiada niemniejsze znaczenie dla ludzkości, jak zbada-

nie i opisanie nieznanego jeszcze jeziora, pasma gór, lub jakiej wyspy.

— Oh, oh, doktorze! — wtrącił Dugan, urażony cokolwiek tem zrównaniem entomologii z geografją, czyż naprawdę jesteś tego zdania.

— Jakto, czy jestem!? — odburknął Halm; — chyba nie zechcesz pan podawać w wątpliwość słów moich? Dlaczegożby odkrycie nowego owada miało być faktem mniejszej doniosłości, aniżeli odkrycie wysepki, czy tam strumyka. Wszystkie gałęzie wiedzy są sobie równe; sąd przeciwny wprowadza fałszywe pojęcia arystokratyczne, w sferę czysto idealnej nauki.

— Ależ podług mnie należy tutaj brać pod uwagę korzyści, jakie ludzkość odnosi z danego odkrycia — bronił się Dugan; — one to stanowią miernik jego wartości.

— Jesteś pan niesmacznym utylitarystą, a nie kapłanem wiedzy! — przerwał doktor, zrywając się ze swego krzeselka i wymachując zapalczywie swą siatką — Korzyści? Uczony nie powinien wcale brać pod uwagę materialnych pożytków, jakie wypłyną z jego pracy.

— Tak, w stosunku do siebie, ale nie do ludzkości całej. Czyż wiedza nie ma na celu i za zadanie uszczęśliwić człowieka, stwarzając mu znośniejsze warunki bytu na ziemi?

Doktor nic nie odrzekł, gdyż uwagę jego zwrócił jakiś owad, który spoczął właśnie na szyi wielbłąda i sprzeczka zakończyła się sama przez się.

Jerzy pozbył się niebawem złego humoru i wesołość zapanowała w całym towarzystwie. Przyjemny chłód, panujący w lesie, nad rzeką, podtrzymywał siły zwierząt, tak iż karawana zatrzymała się dopiero o godzinie 6-ej popołudniu na ślicznej polance, otoczonej zewsząd rozłożystymi bankeyami. W ustroniu tem postanowiono przenocować.

Na dany przez Dugana znak żwawo zeskoczono z wielbłądów, pozdejmowano zapasy i rozłożono się obozem.

Podczas gdy Bob poił zwierzęta, Tom zajął się rozpaleniem wielkiego ogniska z suchych gałęzi.

— Panowie — rzekł Dugan, rozkładając na trawie zapasy żywności; — dzisiaj będziemy jeszcze jedli, jak zwykle, pieczeń ze świeżej baraniny, chleb i omlet na młodej maśle; zapowiadam jednak, iż od jutra nasze pożywienie stanie się mniej wykwintnem.

Zamiast pieczeni ujrzymy na stole soloną wołowinę, chyba że uda się nam ubić co ze zwierzyny; mijsce chleba zastąpią nam podpłomyki, a z omletem zupełnie wypadnie się rozstać.

— To smutne — rzekł Jerzy, uśmiechając się; — będziemy żyli jak pastuchy na odosobnionych stacyach, albo gorzej nawet.

— Jestto bardzo prawdopodobne — dorzucił Abel. — Jednej herbaty nie zabraknie nam tylko.

— Jeżeli zawsze będziemy mieli wodę — wtrącił Dugan. — No, ale tymczasem czeka nas wcale dobra wieczera; zapominajmy więc o jutrze i zajmijmy się teraźniejszością.

Po chwili pieczeń obracała się już na precie, a Bob zabrał się wprawdzie do przyrządzenia omletu.

Dugan w błogiem oczekiwaniu palił fajkę, wyciągnąwszy się wygodnie na swej wełnianej kołdrze; Abel odkorkowywał nienapoczętą jeszcze butelkę wina, którą przezorna pani Hundleton włożyła do walizki syna. Co zaś do doktora, to ten zsiadłszy ze swego wielbłąda udał się niezwłocznie na łowy w okoliczne zarośla. Jerzy chciał iść za nim, gdy nagle usłyszano donośne szczekanie i piękny, czarny wyżeł, wybiegłszy z lasu, wpadł, jak piorun, wpośród podróżnych.

— Hop! Hop! — zawołał radośnie chłopiec, głaszcząc psa, który mu lizał dłonie i wspinał się do twarzy, Skądżeś się wziął tutaj, pocziwcze? Nie chciałeś zostać bezemnie w domu? Nie? Dobrześ zrobił, twojemu panu będzie z tobą weselej,

— Obawiam się czy twój pies nadaży za wielbłądami — rzekł Dugan; — długa podróż przez pustynię może go wycieńczyć zupełnie. Każ mu lepiej powrócić do Little Downs.

— Oh, nie! — odparł Jerzy błagalnie — Hop jest bar-

dzo wytrzymały i pewno nie pozostanie w tyle. A zresztą wezmę go na wielbłąda, jeżeliby się zanadto zmęczył drogą.

— Wraz z nim przybędzie jeszcze jedna gęba do żywienia, mój chłopcze, a zapasy nasze i tak są szczupłe.

— Nieobawiaj się, kochany wuju; mój piesek sam sobie da radę; nietylko, że nie będzie nas objadał, ale jeszcze, jestem tego pewien, będzie nam dostarczał zwierzyny. Trudno przecież obejść się bez wyżyła na polowaniu.

— No, mniejsza o to zresztą! Niechaj idzie z nami, byleby tylko powrócił cały i zdrow.

— Dziękuję, dziękuję, kochany...

Jerzy niedokończył, gdyż bolesny krzyk urwał mu słowa na ustach.

— Co to jest? Co się stało? — zawołał Abel, rozglądając się niespokojnie dokoła.

— To Halm! — odparł Dugan; musiało przytrafić mu się coś złego.

I wszyscy, zerwawszy się, pobiegli w zarośla, w których zniknął przed kilku minutami doktor.

Szanowny entomolog nie przestawał wydawać rozdzierających krzyków; Jerzy i Abel trafili więc do niego bez straty czasu. Stał on, zgięty we dwoje i potrzasał gwałtownie prawą ręką; wykrzywiona twarz dowodziła, iż doznawać musiał strasznego bólu.

— Co panu jest? — zapytał Jerzy, na którym widok cierpiącego zrobił niezmiernie przykre wrażenie.

Halm jednak nie odpowiadał; zwrócił tylko na przybyłych błędne oczy i rzuciwszy się na trawę, tarzał się w niej konwulsyjnie.

— Na Boga! Doktorze! Panie Halm! — wołał z płaczem Jerzy, kłękając przy szalejącym z boleści towarzyszowi. — Co pana spotkało? Czyś pan ranny?

— A może wąż go ukąsił? — rzekł Bob, niespokojnie rozglądając się dokoła.

— Cóż znowu! — odparł Abel — to by mu nie sprawiło takich cierpień.

Nasi podróżni otoczyli ryczącego wciąż Halma i z najwyższą trwogą oczekiwali jego wyjaśnienia.

— Pokaż no pan rękę! — zawołał Dugan, nachylając się. Doktor, przestawszy jęczeć na chwilę, wyciągnął zaczerwienioną i spuchniętą zlekka prawą dłoń.

Obejrzawszy ją, Dugan podniósł się, uspokojony trochę.

— Czyś pan czasem nie dotknął jakiej rośliny? — zagadnął, wodząc oczyma po krzakach.

— Tej! — odparł doktor.

Roślina wskazana przez niego znajdowała się w odległości kilku kroków. Na pierwsze spojrzenie, była ona podobną nieco do malwy; liście jej, serduszkowatego kształtu, porośłe z wierzchu i ze spodu gęstemi włoskami, wyglądały bardzo pięknie; pomiędzy niemi kryły się drobne, czerwone jagody, mocno przypominające maliny.

— Jakto? — zawołał zdziwiony Hundleton; — czyżby to zielsko mogło sprawić taki straszny ból doktorowi?

— Tak — odparł Dugan! — Jestto paląca pokrzywa guislandska.

— *Laportea moroides*, najjadowitsza chyba roślina w całej Australii. Przypatrzcie się tym włoskom na liściach; one to właśnie noszą mikroskopijne haczyki, zawierające piekący płyn. Wcale nie dziwię się doktorowi; dotknięcie tej zdradzieckiej rośliny wywołuje bowiem ból, mogący o szaleństwo przyprowadzić. No wstawaj pan — dodał, zwracając się do jęczącego Halma; to nic niebezpiecznego! Jutro będziesz pan zdrow.

— Więc to pokrzywa? — zagadnął doktor, podnosząc się z trudnością na nogi, i oglądając sparzoną rękę...

— Tak, ale nasza australska — odparł Dugan, uśmiechając się, dla dodania odwagi koledze.

— Niech ją dyabli porwą! — mruknął doktor, rzucając nienawistne spojrzenie na roślinę, która stała się przyczyną jego cierpień... Oh... jakże mnie pali! — jęknął; — ból dochodzi mi aż do ramienia i do pachy... Ogień mam w żyłach... Oh! wody...

— Broń Boże! — zawołał Dugan; — doznałbyś pan jeszcze gwałtowniejszych cierpień... Tłuszcz lepszy, choć i to nie wiele pomoże...

Bob i Tom, na rozkaz podróżnika, wzięli Halma pod ramiona i zaprowadzili go do obozu; nogi bowiem tak mu drżały, iż nie byłby w stanie utrzymać się na nich o własnej sile.

— Biedak, leżąc na kółdrze Dugana, nieprzestawał jęczeć; ręka zaogniła się i zaczęły się na niej ukazywać duże, białawe pęcherzyki. Jerzy wysmarował całe ramię oliwą, co przyniosło choremu cokolwiek ulgi.

Ten przykry wypadek zwarzył zupełnie humor wszystkim towarzyszom doktora; Jerzy płakał; widząc, jak Halm gryzł sobie z bólu usta i zaciskał zęby. Abel wywarł zaś srogą zemstę na pokrzywie, i posiekał ją prętem na miazgę; nawet Tom i Bob z głębokiem współczuciem przypatrywali się naszemu entomologowi. Pieczeń zapomniana, stygła na drewnianym rożnie przy dogasającym ognisku, wino stało nieodkorkowane, nikt bowiem nie myślał o jedzeniu.

Do wieczery zabrano się dopiero przed samą północą, kiedy Halm, po długim rzucaniu się w gorączce, usnął nareszcie na wygodnem posłaniu ze świeżej trawy.



Na walcu okrągłym pływającym po wodzie... (str. 37).

IV.

W KTÓRYM JERZY I HOP DOZNAJĄ ORYGINALNEJ PRZYGODY.

Pierwszy dzień podróży zakończył się więc bardzo niešťęśliwie dla doktora Halma.

Szanowny entomolog cierpiał dotkliwie w dalszym ciągu, gdyż sparczenie pokrzywą queenlandzką nie przemija prędko; ból powraca, ilekroć miejsce obrażone znajdzie się w zetknięciu z wodą; stan taki trwa zazwyczaj parę tygodni; rzecz prosta, iż przez cały ten czas chory nie może się ani myć ani kąpać.

Doktor, drażliwy na względy higieniczne, był z tego powodu w niezmiernie pośępnem usposobieniu; siedział na swem krześle, nie otwierając do nikogo ust. Daremnie Dugan usiłował go rozerwać opowiadaniem o swych przygodach; entomolog słuchał z roztargnieniem, spoglądając co chwila ze smutkiem na swą obandażowaną rękę, w której nie mógł nawet utrzymać siatki.

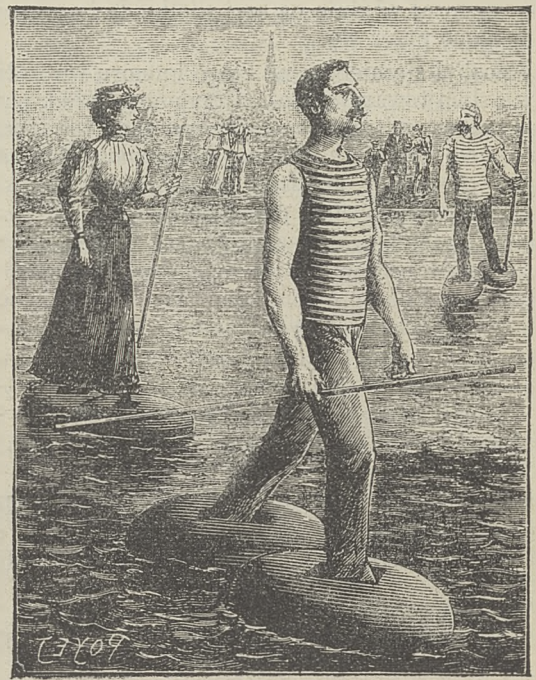
Ta ostatnia okoliczność trapiła go najwięcej; musiał bowiem beczynn timer przypatrywać się owadom, które przelatwały co chwila tuż przed jego nosem. Poprosił więc Abła, żeby ten łowił dlań okazy. Australczyk chętnie uczynił temu zadość i wzięwszy siatkę, szczypczyki oraz flakonik z benzyną, zaczął gorliwie chwytac wszystko, co mu się nadarzyło.

Dzięki jego uprzejmości i bystremu wzrokowi, do zbiorów doktora przybyło parę dość rzadkich gatunków much, które w ogóle są prawdziwą plagą w Australii.

Zdobycz ta nie byłaby prawdopodobnie rozchmurzyła oblicza Halma, gdyby nie to, iż karawana napotkała nad wieczorem rzecz niezmiernie ciekawą dla każdego entomologa, mianowicie pasmo mrówczych gniazd.

Na ich widok doktor zapomniac zupełnie o swoich cierpieniach i zszedł z wielbłada, żeby przypatrzeć się zblizka imponującemu dziełu drobnych owadów.

Gniazda mrówek quinslandzkich są, zaiste, godnemi podziwu pod wieloma względami. Najprzód uderza widza ich ogrom; pojedyncze stożki dochodzą bowiem 28 stóp wysokości a 8 średnicy; budowa ich, co do wytrzymałości, nie przedstawia nic do życzenia.



Zaopatrzeni w olbrzymie, koliste, wydrążone trzewiki... (str. 37).

— Trudno uwierzyć — rzekł Jerzy, zbliżając się do jednego z gniazd — iż takie małe stworzenia mogły wznieść te wielkie budynki, które, stosunkowo, pozostawiają daleko w tyle najpotężniejsze gmachy, postawione rękami ludzkiemi.

— Zapewne... tak... — mrucał doktor, szukając na ziemi potrzebnych mu okazów.

— Ileż tych gniazd jest tutaj?! — mówił dalej Jerzy z podziwieniem; — z wysokości mojego wielbłada nie mogę wcale dojrzeć, gdzie się kończy pasmo.

— Daleko musiałbyś jechać, zanimbyś dotarł do ostatniego stożka — odezwał się Dugan z uśmiecchem.

— No? z pół mili może?

— O! dalej moje dziecko!

— Z milę!

— Jeszcze dalej!

— Co?! Jeszcze dalej?! — powtórzył ze zdziwieniem Jerzy. — Więc ze dwie mile chyba?

— Zaręcam ci, iż pasmo to rozciąga się o wiele dalej.

— Zartujesz sobie ze mnie, kochany wuju! — zawołał

chłopiec — gdyby tak było, to guiazda mrówek należałoby liczyć na tysiące.

— Albo i na dziesiątki tysięcy! Zbadałem to pasmo przed kilku laty i przekonałem się, iż ma ono siedmdziesiąt przeszło mil długości.

— Siedmdziesiąt? — krzyknął doktor, zrywając się gwałtownie. — Powiadasz pan, że ten szereg gniazd rozciąga się na 70 mil wzdłuż? Rzeczywiście, pozwalasz pan sobie na żarty całkiem niewłaściwe. Mój panie! To są rzeczy poważne! Tu chodzi o fakt z dziedziny entomologii!! Nie pozwolę więc...

(d. c. n.)

madzonych. Radość dzieci zwłaszcza, wywołuje widowisko przedstawione na naszej rycinie. Na walcu okrągłym, pływającym po wodzie, akrobaci różne dowolne przybierają postawy: leżące, siedzące, stojące, kłęczące; równowagę utrzymują za pomocą drąga trzymanego w ręku i odpowiedniego pochylenia ciała, co zmusza sztukmistrza do śmiesznych częstokroć ruchów i naraża go na niepożądaną zimną kąpiel. Najłatwiej jest ową równowagę utrzymać siadając na walcu, a drąg podsuwając pod kolana, czego wzór widzimy na wspomnianej rycinie. Gdy walec pochyła się na jedną lub drugą stronę, koniec drąga odbijając się o wodę przywraca mu kierunek żądany. Młodzi widzowie przyglądają się również z ciekawością chodzeniu osób po wodzie. W tym

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Ulica Mariensztadt.

PRZEDSTAWIENIA NA WODZIE.

Popisy cyrkowe znudziły się wybrednej publiczności, to też jeden z dyrektorów cyrku wpadł na pomysł dawania przedstawień akrobatycznych na wodzie. Nowość ta podobała się i tego roku widziano już w różnych zagranicznych miejscowościach zręcznych akrobatów, popisujących się na sadzawkach cyrkowych, mających więcej jak sto metrów obwodu. Wrażliwość widzów przy takich przedstawieniach silnie podnieconą bywa; tak np. pływak na rodzaju małego bicyklu rzuca się ze swym stalowym runakiem w wodę i zanurza się w niej zupełnie; publiczność drży o jego życie, a on tymczasem po kilku chwilach ukazuje się na powierzchni przy oklaskach zgro-

celu łyżwiarze i łyżwiarki jak wskazuje druga rycina nasza zaopatrzeni są w olbrzymie kolistego kształtu, wydrążone wewnątrz trzewiki drewniane, z płaskim spodem, dość lekkie, aby mogli swobodnie się poruszać. Dla ułatwienia tych ruchów przytwierdzają w środku w poprzek trzewika blaszkę z aluminium, formy prostokątnej, z ruchomymi ogniwami w górze, co ujednastajnia stawianie kroków. Drążek trzymanym przez łyżwiarzy w ręku przeznaczony jest nietyle do utrzymania równowagi, jak do wykonywania nowego rodzaju sztuk gimnastycznych, kończących się często upadkiem akrobatów i śmiesznymi czynionymi przez nich wysiłkami dla przywdzia-
nia spadłych z nóg sabotów.

ONA

OPOWIADANIE

przez **Zofię Kowerską.**

(Dalszy ciąg)

Parę dni upłynęło, podczas których pan Wasiewicz miał z Bronisem smutną rozprawę. Chłopiec nie chciał się uczyć, wreszcie wybuchnął gniewem i oświadczył, że nie będzie ulegał. Nauczyciel powtórzył słowa Bronisia ojcu, który się rozgniewał, ukarał Bronisia uderzeniem, a potem dostał takiej migreny, że musiał cały dzień leżeć w ciemnym pokoju. Zona nie odstępowała go; miała czerwone oczy, choć usiłowała nie okazywać zmartwienia swego pani Zwojskiej.

Gdy pan Mierznicki powrócił do zdrowia, żona rozpoczęła z nim długą i stanowczą rozmowę i oświadczyła mu, że na sumienie swoje nie może brać przyszłości dzieci, które z powodu nienawiści dla niej, psują sobie serce i charakter coraz bardziej, i że się przeniesie do matki, do Warszawy, zabierając Marytkę.

Pan Mierznicki prosił, błagał, opierał się temu, ale żona łagodnie lecz stanowczo odpowiedziała:

— Nie przestanę być ci dobrą żoną; przez cztery miesiące na rok, gdy będziesz w Warszawie na kadencji, będziesz razem, będę wychowywać Marytkę, jak matka, ale dzieci twoich nie wypędzę z domu twojego. Raczej sama z niego ustąpię. Błagam cię, pozwól mi na to, w czym jedynie widzę dla dzieci zbawienie. Może kiedyś, gdy dorosną i poznają swoją niesprawiedliwość, wrócę tu i będziemy mogli być szczęśliwi wszyscy razem.

Poczęto pakować rzeczy pani Mierznickiej i Marytki. Cały dom już wiedział, że pani opuszcza Litów. Ojciec był smutny, surowy, zamyślony; okazywał Elżuni niechęć prawdziwą. Dziewczynka była niezadowolona z siebie, pragnęłaby teraz zatrzymać macochę, ale duma i pycha nie pozwalały jej na przeproszenie, ani błaganie pani Heleny by została. Broniś cieszył się głośno i mówił do Elżuni:

— Jakem się tylko dowiedział o niej, zaraz powiedziałem, że ją batem ztąd wypędzę. I bez bata się obeszło! I tak znaleźliśmy sposób!

Elżunia milczała. Czuła, że powinna być wyobrażenia Bronisia sprawdzić na drodze sprawiedliwości, że przecie przez samą miłość dla ojca, dzieci powinny się upokorzyć, że pani M. była niewinną ofiarą ich złości, a właściwie ofiarą Elżuni, która z Bronisem robiła co chciała, ale dziewczynka miała nieszczęśliwą naturę, przekorną i zaciętą, a próżność nie pozwalała jej cofać się z raz obranej drogi. Broniś wszakże spostrzegł, że nie miała miny rozradowanej.

— Cóż ty się nie nie cieszysz? — zapytał.

— Bo papa zmartwiony, więc mi przykro.

— Ale teraz może ty będziesz dysponować obiady!

— Eh, cóż mi z tego!

— Nie cieszysz się? A mówiłaś, że ona nie umie nic dobrego na obiad wymyśleć! Że żebyś ty dysponowała kucharzowi, toby dopiero było dobrze!

— Ale Marytkę zabierze.

— A przecie mówiłaś, że żeby to od ciebie zależało, tobyś Marytkę zaraz na pensję do Warszawy odesłała, żeby ją tam oduczyli kaprysów.

— To tylko tak sobie mówiłam.

Broniś był niezadowolony z Elżuni.

— Ej, bo ty mówisz raz tak, raz inaczej!

Pani Zwojska z córką i Marytką miały wyruszyć nazajutrz, tymczasem w nocy Broniś dostał ogromnej gorączki i bólu gardła. Odłożono wyjazd, lecz gdy się pokazała szkar-

latyna, która ciało Bronisia uczyniła czerwonym i piekącym, pani Zwojska wyjechała poprzedziej z Marytką, bojąc się dla niej choroby. Że starsze dzieci miały szkarlatynę jeszcze za życia matki, więc można było zostawić je w domu. Wezwano doktora, który orzekł, że choroba jest ciężka i potrzebuje prędkiego ratunku z powodu dyfterytu, który się do niej przyłączył. Broniś dopóki był przytomny nie chciał brać lekarstwa z rąk p. M. i przywoływał do siebie Elżunię, pani Mierznicka wszakże nie wychodziła z pokoju, a gdy chłopiec stracił przytomność nie odstępowała go.

— To mój obowiązek! — mówiła do męża, który prosił by się trochę położyła.

Elżunia z początku nadawała sobie przy Bronisiu wielką powagę, dumna z tego, że z jej rąk tylko zgadzał się przyjmować lekarstwo, ale była ona dzieckiem, które sen morzył prędko. Wreszcie jednego dnia, pani M. obudziła ją o piątej rano i rzekła:

— Moja Elżuniu, jestem rzeczywiście bardzo zmęczona, całą noc przykładam Bronisiowi pęcherz z lodem do głowy, zastąp mię w tem teraz, a o ósmej mię obudzisz.

— To ja spałam całą noc! — zawołała Elżunia, która w ubraniu położyła się tylko na chwilę z wieczora i ani wiedziała, że przespała do rana.

Dziewczynce nieprzyzwyczajonej do ранnego wstawania kręciło się w głowie, oczy jej się zamykały, ale poszła i usiadła na krawędzi łóżka Bronisia, wzięła w rękę pęcherz z lodem i do głowy brata go przyłożyła. Następnie nie wiedziała już wcale, jak się to stało, ale obudziła się o ósmej na kanapie stojącej w pokoju Bronisia. Rozejrzała się rozszpana, nie wiedząca, gdzie się znajduje i spostrzegła p. Mierznicką obok chorego.

— Co się to stało? — zawołała dziewczynka.

— Nic bardzo dziwnego — odparła Helena. — Poszedłszy o piątą do swego pokoju, zaczęłam się rozbierać, ale przyszło mi na myśl zajrzeć tu jeszcze. Zastałam pęcherz z lodem na ziemi, a ciebie śpiącą w najlepsze z głową na poduszce Broninia. Nawpół przytomną przyprowadziłam na tę kanapkę, na której spałaś dotąd.

— Przepraszam panią! — rzekła Elżunia.

Było to pierwsze dobre słowo wyrzeczone przez Elżunię do pani M., która uśmiechając się mówiła dalej:

— Mogę ci zwiastować dobrą nowinę. Gorączka spadła znacznie. Broniś jest przytomny. Widocznie mu lepiej!

Broniś szeroko otwartymi oczami patrzył na p. Helenę. Zdawało się, że widzi ją poraz pierwszy.

— Chwała Bogu, jesteś lepiej, moje dziecko — mówiła ona. — Byłeś bardzo chory, ale tego nie pamiętasz, bo miałeś gorączkę. Teraz codzień będzie lepiej. Doktor przyjedzie dziś i ucieszy się, że jego pacjent już nie ma gorączki.

— To pani jeszcze nie pojechała?

— Jak widzisz, jeszcze tu jestem, ale wyjadę jak tylko będziesz już zdrow zupełnie.

Broniś patrzył długo w twarz jej.

— Jabyś chciał, żeby pani nie odjeżdżała — rzekł powoli.

— Pani zostać tu nie może — odparła pani Mierznicka — mogłaby zostać matka, ale skoro jej niema dla was...

Elżunia była niezmiernie zawstydzona. Wmawiała w siebie i słyszała od Felki, że była już dużą panią, prawie dorosłą, że mogła już rządzić domem i młodszymi dziećmi, a oto nie była w stanie kilku godzin czuwać przy chorym bracie. Namawiać go do nieposłuszeństwa, do krnąbrności, do nienawiści, umiała, a pielęgnować go w chorobie musiała właśnie ta, którą zmuszali do ucieczki.

— Teraz mogę cię zostawić przy Bronisiu — rzekła pani M. — Wypałaś się dostatecznie, skoro się już sama obudziłaś... Zresztą przykładanie lodu stało się zbędne od chwili, w której Bronisiowi wróciła przytomność.

Wyszła, a Elżunia usiadła przy chorym braciśku, ale nie śmiała się do niego odezwać. Na płacz jej się zbierało.

— Elżuniu — zapytał Broniś — czemu nikogo przy mnie nie było, tylko ona, gdy oczy otworzyłem. Ciągłe trzymała pęcherz na mojej głowie...

W tej chwili wszedł lekarz, po którego posłano o świecie do sąsiedniego miasteczka. Spojrzał na chorego, dotknął jego puls i zawołał:

— Ej, zuch z ciebie, chłopcze! Zwyciężyłeś brzydką chorobę! Nie ona góra, tylko ty góra! Ale podziękuj matce, pielęgnowała cię, jak siostra miłosierdzia, a czuwała nad tobą jak anioł. Musisz ty być dla niej bardzo dobry, widzę, żeś i do tańca i do różańca! Dla rodziców uległy, a ze szkarlatyną jak się wziąłeś za bary, takeś ją powalił.

Bronisia powstającego z choroby napadła nagle jakaś potrzeba szczerości, jakaś chęć powiedzenia prawdy i przedstawienia się takim, jakim był rzeczywiście, a nie takim, jakim się na pozór wydawał. Z trudem uniósł głowę z poduszki i rzekł poważnie i śmiało:

— Ja wcale nie byłem dobry dla niej!

Doktor bał się by chłopiec na nowo nie dostał gorączki z powodu zbyt żywej rozmowy, usiłował więc odwrócić myśl Bronisia na inny przedmiot.

— Ej, obmawiasz się zuch! — zawołał. — A jeść ci się chce? Możeby tak kieliszek dobrego wina?

— Ja się wcale nie obmawiam, ale mówię prawdę!

— No, co? winka byś się napił?

Elżunia siedziała jak na szpilkach. Sama nie wiedziała co się w niej działo, ale była niezadowolona z siebie i jakiś żal przenikał jej duszę. Jej braciszek, którego przecie kochała, przychodził do zdrowia, a ona nie radowała się i cierpiała w głębi duszy. Czuła, że była zbłąkana, a na dobrą drogę wejść nie umiała.

— Więc teraz tylko unikać zaziębień — mówił lekarz — nie wychodzić z pokoju, okrywać się ciepło... Nawet w zimnej wodzie twarzy myć nie można.

Broniś tedy wszedł w stan rekonwalescencji. Otoczono go wielkimi staraniami, strzegąc od zaziębień. Pani M. rozciągała nad nim pieczę bezustanną, ale nie przesiadywała w jego pokoju.

— POCO mam tam być? — rzekła do Elżuni — wszak wiesz dobrze, że mój widok jest mu nieprzyjemny, gdy jest w ciepłym pokoju nic mu się złego stać nie może, a ty Elżuniu i Franiu, starajcie się by się nie nudził.

— Ależ pani... — zaczęła Elżunia.

Chciała powiedzieć, że Broniś zauważył jej troskliwość i dobroć dla siebie, ale ją coś za gardło ścisnęło. Nieszczęśliwa dziewczynka należała do rzędu tych, którym łatwiej się zdobyć na powiedzenie czegoś przykrego i raniącego, niż uprzejmego i serdecznego.

Pani M. wchodziła do Bronisia parę razy na dzień, na chwilę tylko, by się dowiedzieć, czy czego nie potrzebował.

— Nie pani, nic mi nie potrzeba — odpowiadał Broniś i za każdym razem miał ochotę wziąć jej rękę i złożyć na niej pocałunek, ale spoglądał na Elżunię i nie śmiał tego uczynić.

Leżał jeszcze godzinami całemi w łóżku, bo był bardzo osłabiony, a leżąc przemysliwał, że chciałby do macochy powiedzieć już nie „pani”, ale „mamo”, gdy wszakże wchodziła na krótką chwilę do pokoju, nie śmiał się zdobyć na tę nazwę, któraby od razu była przeproszeniem i uznaniem winy. Pragnął także powiedzieć jej otwarcie, że to on zamazał bukiet bratków, i że to on zniszczył kamelie. Pan Bóg był taki dobry i taki łaskaw na niego, wyratował go z niebezpiecznej choroby, a on miał wielki grzech na sumieniu. To tak ciężko z niewyznaną winą spoglądać ludziom w oczy!

Z Elżunią nie mówił już wcale o macosze. Oboje unikali tego przedmiotu, jak gdyby się byli zinówili. Każde z nich chciałoby przyznać się do tego, że zmieniło zdanie co do kobiety, którą ojciec ich wybrał im na drugą matkę, ale jakiś fałszywy wstyd zamykał im usta. Jakże tu teraz zacząć mówić z serdecznością o osobie, którą się tyle razy i tak zjadliwie słowem kąsało.

(d. c. n.)

POŁÓW REKINÓW.

Rekiny można śmiało nazwać potworami morza, nie dla kształtu, który nie tak osobliwego nie przedstawia, lecz dla żarłoczności; to też ochrzczono je drugą, bardzo stosowną nazwą, żarłacz. Bandami przecinają morze uganiając się za zdobyczą, a gdy rekin już ją chwytą, wtedy odwraca się grzbietem na dół, ponieważ jego szczeka górna zachodzi na dolną i trudno byłoby mu schwycić ofiarę, gdyby zachował zwykłe położenie.

Rybacki polują na żarłaczę, po pierwsze dla ochrony ryb a po drugie dla tłuszczu, który jego wątroba zawiera.

Oprócz wątroby, rekin ma skórę bardzo poszukiwaną w handlu; nosi ona nazwę jaszczuru i skóry szagrynowej. Strona zewnętrzna tej skóry jest tak twardą i ostrą, że służy też stolarzom do politurowania drzewa.

Chińczycy znani z upodobania w szczególnych potrawach, na które Europejczycy patrzą z obrzydzeniem nieledwie, ze smakiem zjadają żarłaczę. Marynowane skrzela są to nawet specjałem, którym należy kończyć wystawniejszy obiad. Rasa biała, mniej łakoma, z tych skrzeli klej wydobywa. Zęby rekina mają też swoich amatorów. Dzikim plemionom australskim służą za broń niebezpieczną, gdyż domyślić się łatwo, że zęby takiego żarłacza, są bardzo ostre i twarde.

W jaki sposób łowią rekiny?

Z pomocą olbrzymiej wędki, w której łańcuchem żelaznym zastępują jedwabny sznurek, a drobny haczyk zamiennie są w hak potężny. Rekin chwytą zawieszoną przynętę bez żadnej ostrożności, zaledwie łańcuch zadrga, uważni rybacy ciągną go wraz z rekinem, gdy już dosięga powierzchni wody, zarzucają nań harpuny i haki, opasują łańcuchami i wciągają na pokład. Opasanie łańcuchami jest konieczne, gdyż żarłacz jednym machnięciem ogonowej pletwy, mógłby wrzucić w morze rybaków, taką ma w niej ogromną siłę. Mięso rekina niesmaczne, lubo w Chinach jadane, służy zwykle za przynętę dla innych rekinów.

Okrutnie szkodni zalegają zwykle wszystkie oceany strefy gorącej i umiarkowanej. Jest ich kilka odmian, różniących się między sobą wielkością (od czterech do dziesięciu łokci długości). Rekin tygrys, z taką wściekłością miota się na haku, że potrafi czasem uderzeniem ogona podrzucić w powietrze statek, rozumie się niewielkich rozmiarów. Biada odważnym rybakom jeśli wtedy wpadną w morze, bo, jak wspominaliśmy rekiny pływają gromadnie i w mgnieniu oka pożerają tonących.

Z żarłaczami spotkać się można tylko na pełnem morzu z dala od brzegów; w opisach morskich podróży spotykamy się prawie zawsze z opisem przygody z rekinami, z któremi jednak bliższa znajomość, jest jak widzimy, wcale niepożądaną.

A. M.

W Japonii.

II.

Od 35 r. życia piękność Japonki wędnie a pergaminowa twarz, licznymi pokryta zmarszczkami, przybiera wyraz łagodnej rezygnacji, która każdego cudzoziemca, przeniesionego do japońskiego społeczeństwa, uderza na pierwszy rzut oka. Usta jej nie przestały się uśmiechać, głos dawna zachował dzwięczność, zmarszczki zaś wryte na czole i twarzy, są ra-

czej śladami cierpień zniesionych mężnie i z godnością, niżeli zniechęcenia lub goryczy. W Japonii starość tak wielkim otoczona jest szacunkiem, że sędziwa ciotka takimiż same-
mi, jak matka lub babka, cieszy się względami. Nic dziwnego, że w takich warunkach starość jest pożądaną i oczekiwaną z upragnieniem, jako najpiękniejsza na ziemi nagroda.

Okropne uczucie egoizmu, który Europejczykowi każe nieraz poczytywać uboższych krewnych za ciężar, nie napotyka się w żadnej klasie japońskiej ludności. Przeciwnie, wszelka ofiara na korzyść sędziwych członków rodziny, uchodzi za rzecz zupełnie prostą i naturalną, za nieuniknione i niezłomne prawo moralności. Tak dalece nawet starość uważa się tam za okres spokoju i cichego szczęścia, że ojciec rodziny od 50-go roku życia, powierza swe dobra, dochody i sprawy najstarszemu synowi, sam zaś dobrowolnie staje się od niego zależnym, mówiąc, że wychowawszy jak najlepiej liczną rodzinę, spełnił już swe zadanie.

Naturalnym tego wynikiem jest daleko mniejsze przywiązanie się do pieniędzy u tego ludu, nie znającego wzniosłych naszych prawd religijnych, niżeli u Europejczyków.

Pomiędzy nowymi wpływami, działającymi obecnie w celu polepszenia stanowiska i bytu kobiety japońskiej najdonioślejszym jest wpływ samej cesarzowej, która wzięła stanowczy rozbrat z przestarzałymi tradycjami, występując otwarcie jako zwolenniczka wszelkiego postępu. Zamiast być niewidzialnym jakimś widmem dla swych podwładnych, cesarzowa stanęła na czele wszystkich japońskich kobiet i nową na krańcach dalekiego Wschodu rozpoczęła erę. Zresztą w dziejach Japonii nie po raz pierwszy to się zdarza.

Okolo roku 1000, to jest przy końcu epoki bajecznej, zjawia się w historii tej krainy sławna, bohaterska postać cesarzowej Dzingu-Kôgô, która postanowiła udać się na Zachód, podbić rozległą krainę i zabrać z niej to, co miało stać się chlubą jej własnej ojczyzny. Zbudowała flotę, zebrała wojsko, zwołała dowódców i rzekła: „Chwała lub upadek cesarstwa zależy od tej wyprawy. Wam powierzam wykonanie moich rozkazów, które jeżeli będą lekceważone, to na was surowa spadnie kara. Chociaż jestem młodą kobietą, ufając wierności mego wojska i jego wodzów, stanę na czele świętej tej wyprawy. Idziemy podbić piękną i bogatą krainę. Jeżeli nam się to uda, to sława przypadnie nam w udziale, w przeciwnym zaś razie przyjmę na siebie całą winę i hańbę.”

Wkrótce potem Dzingu-Kôgô podbiła Koreę i wraz z ogromnemi skarbami przyniosła stamtąd chińską religię, sztukę i cywilizację. Z biegiem lat cesarze japońscy zniechęcili i zamknęli się w swych pałacach, aby się poświęcić pracy umysłowej, oraz popierać rozwój sztuk i umiejętności. Ze swej strony Daimoiści czyli feodálni książęta i wierni ich towarzysze, Samurajowie, nie tylko bronili kraju od napaści nieprzyjaciół, ale także troszczyli się o jego dobrobyt, oświatę i cywilizację, otaczając piśmiennictwo jak najtroskliwszą opieką.

Od najdawniejszych niemal czasów przywiązanie do tronu i nieustraszoną odwagę stanowiły charakterystyczne cechy nie tylko samych Samurajów, ale nawet ich żon i córek. Łagodne te i delikatne istoty, do książęcego przyzwyczajone

przepychu, stawały się w razie potrzeby dzielnymi amazonkami, ucinając długie włosy, zmieniały przepyszne suknie na uniform wojskowy, jaki każda z nich posiadała i z taką samą odwagą, jak ich mężowie, występowały do walki.

Obecnie jeżeli system rządowy pozostaje w rękę mężczyzn, pod kierunkiem samego cesarza, to cały postęp w położeniu kobiet jest dziełem żon Samurajów, popieranych gorąco przez cesarzową. One to nie tylko przesiąkają same nowymi, nieznanymi dotąd zwyczajami, ale nawet gorliwie je rozpowszechniają; zabrały się do pracy, zajmując zaszczytne miejsce profesorów, tłumaczy i t. p., lub pielęgnując chorych. One to kierują obecnie wszystkimi szpitalami, jak również pensjonatami i szkołami przemysłowemi dla dziewcząt. Córkę ich otrzymują jak najlepsze wychowanie i odznaczają się uległością względem swych przełożonych, niezmordowaną gorliwością w pracy, a zwłaszcza wniosłem pocuciem osobistej godności. Wpływ żon Samurajów wszędzie się daje uczuć, one bowiem pierwsze zrozumiały potrzebę reformy i z niezłomną energią szukają środków zaradzenia złemu tak, iż rzecz można, że przyszłość kobiety japońskiej w ich spoczywa ręku.

Aby się wywiązać należycie z nowego swego posłannictwa, potrzebują one tylko naśladować piękne przykłady swych babek i prababek. Od najdawniejszych czasów kobiety z wyższych warstw społeczeństwa, wywierały w Japonii wpływ doniosły i zbawienny. Na dworze cesarskim, którego główną były ozdobą, nie poprzestawały na braniu udziału w zabawach, łowach, turniejach lub tańcach. zaczerpniętych z Chin i Korei, a stanowiących przywilej niektórych szlacheckich rodzin, ale słynęły również z bystrego umysłu, talentu muzycznego, głębokiej znajomości literatury i płodnej wyobraźni tak, że nawet największe utwory klasycznego, japońskiego piśmiennictwa, powstały po większej części za radą i inicjatywą kobiet.

Nie tylko pod względem ubiorów, ale we wszystkim co się tyczyło przyozdobienia pałaców cesarskich, głos ich był zawsze rozstrzygającym, tak, że nawet cukiernicy, pragnąc, aby ich wyroby artystyczną nosiły cechę, zasięgali rady pań z arystokratycznych rodzin.

Jeżeli Japonia przyswajając sobie cywilizację chińską, nie straciła całej swej oryginalności, język zaś narodowy utrzymał się aż dotąd pomimo obcych wpływów i coraz bardziej się kształci, to przedewszystkiem zasługa kobiet i ich niezmordowanej działalności.

Jak dawniej, tak i dziś jeszcze jedynym środkiem zdobywania względów u dworu, nie jest uroczą powierzchowność, ale wyższość umysłowa i moralna. Wszystkie prawie domy dworskie, nie wyłączając kilku małżonek Samurajów, odznaczonych przez cesarzową za swoje zasługi, znają wybornie literaturę klasyczną, a zarazem słyną z umiejętności prowadzenia dowcipnej i ożywionej rozmowy. Należy też przyznać, że sami mikadowie popierają gorliwie rozwój poezji japońskiej, która bardzo jest piękna.

(d. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

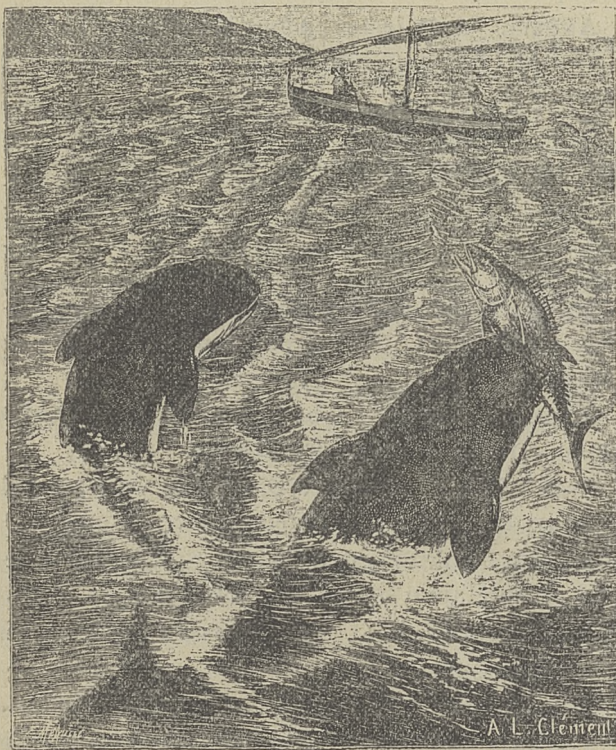
TREŚĆ: Pierwsza ponowa, wiersz (z drzew.) — Czego nas uczą kamienie i jak je zbierać p. M. Halperna. — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Przedstawienia na wodzie (z drzew.) — Ona p. Zofię Kowerską. — Połów rekinów p. A. M. — W Japonii. — **Dodatek:** Morświń (z drzew.) — Walka o wiatr, komedyjka w jednej odsłonie p. Nagodę. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M^{ss} Molesworth. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE.

MORŚWIN.

Patrzcie, jak to wielkie morskie stworzenie chrupie ostremi zębami biedną rybę! cóż to za stworzenie?

Na rysunku podobne do dużej ryby i w rzeczywistości bardzo ją przypomina, jeśli patrzymy na nią z pokładu okrętowego. Nosi nazwę: morświni; ma pletwy i ogon tak jak ryby, lecz brakuje mu najważniejszej oznaki rybiej, skrzeli.



Które z was, nie widziało nigdy dokładnie ryby, niech poprosi kogo ze starszych osób, by mu pokazał owe skrzela. Są to dwa otwory z boku głowy umieszczone, które służą rybom do oddychania tak jak ludziom płuca.

Morświny nie są zatem rybami lecz należą do wielkiej gromady delfinów, zwierząt, które żyją w morzach i oddychają płucami, dla tego też muszą od czasu do czasu wychylać się nad powierzchnię wody by zaczerpnąć powietrza.

Morświny żyją w Oceanie Atlantyckim i pożerają mnóstwo ryb, to też rybacy polują na bezustannie, aby oczyścić morze z tych szkodników.

A. M.

WALKA O WIATR.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

Napisana dla Lusi z Dolinian i Julisi z Szydłowiec.

OSOBY.

MAMA. STAŚ. AŃDZIA.

STAŚ, AŃDZIA.

AŃDZIA. Stasiu, czemu ty tak cicho siedzisz?

STAŚ. Bo czytam.

AŃDZIA. A to ładna książka?

STAŚ. Cudowna.

AŃDZIA. Opowiedz mi co z niej!

STAŚ. Nie zrozumiesz.

AŃDZIA. Skąd wiesz? jeśli ty możesz zrozumieć to i ja tak samo.

STAŚ. Aha, właśnie! racya fizyka! uczysz się po łacinie? a co?... widzisz jakieś zamilkła.

AŃDZIA. Ale to przecie nie łacińska książka.

STAŚ (*nie wiedząc co powiedzieć*). To i cóż z tego... ale to jest książka... Książka prawie dla dorosłych, ja mam już umysł rozwinięty wyższemi studjami, więc mogę ją czytać!

AŃDZIA. Nieznośny jesteś, nigdy się teraz ze mną nie chcesz bawić, żebym ja sama miała jaką książkę, albo nową lalkę, tobym nie potrzebowała twojej łaski.

STAŚ. Bardzo mi przykro, że nie mogę pannie do brodziejce zastąpić nowej lalki, ale mam nadzieję, że ten galganek mnie wyręczy (*podejmuje z ziemi kawałek czerwonej materji*). O! główkę wypchamy papierem, rączki będą z ołówka (*robi coś podobnego do lalki*), a nóżki... nóżek nie będzie, twoje lalki zwykle bez nóg. (*rzuca lalkę przez stół*). Na masz, baw się.

AŃDZIA (*odtrącając ją z pogardą*). Dziękuję, ja takiej nie chcę.

STAŚ. Albo to nie wszystko jedno? lalki tak wszystkie do siebie podobne. Konie, to rzecz inna; ach, żebym ja miał konia!... albo nie, nie chciałbym konia, wolałbym teraz co innego.

AŃDZIA (*ciekawie*). Co takiego?

STAŚ. Balon!

AŃDZIA. Balon? przecie masz jeszcze całkiem dobry, leży tam pod kanapą.

STAŚ. Ha, ha, ha! taki balon, to w sam raz dla ciebie. Jabym chciał mieć prawdziwy balon, taki do latania jakbym się wzniósł pod obłoki, tobyście mnie nie widzieli ze trzy tygodnie.

AŃDZIA (*zdumiona*). A cóżbyś ty tam robił pod obłokami?

STAŚ. Cóż, latałbym sobie to tu, to tam, spałbym tak doskonale jak w kołysce, patrzyłbym się z góry na rozmaite miasta, rzeki, morza, łapałbym siatką ptaszki w powietrzu, tak, jak się w wodzie łapie rybki.

AŃDZIA. A nie uczyłbyś się nic?

STAŚ. Jeszcze czego! jabym się przecie i tak kształcił samem lataniem po powietrzu, wszyscy powiadają, że podróże są bardzo kształcące. Z jednej takiej podróży to można więcej nabrać rozumu niż ze stu książek.

AŃDZIA. Ale to strasznie musi być przyjemnie w ten sposób nabierać rozumu, przez latanie.

STAŚ. Spodziewam się, że przyjemnie! O żeby wiedzieć co, to ja muszę kiedyś pojechać balonem.

AŃDZIA. A mnie weźmiesz z sobą?

STAŚ. Ani myślę; żebyś się zaraz wszystkiego bała.

AŃDZIA. Ale ja się nie będę bała, mój Stasieczku, ani troszkę, weź mnie tylko z sobą!

STAŚ (*stanowczo*). Nie, nie, nie napieraj się, bo nic z tego; jeżdżenie balonem, to nie jest zabawa dla dziewcząt. Już prędzej wziąłbym kilku kolegów z gimnazjum, żeby nam razem było weselej.

AŃDZIA (*bliska płaczu*). Jaki ty jesteś niedobry! wolisz brać obcych chłopców, niż rodzoną siostrę, ciekawam co ci z tego przyjdzie, że ich wszystkich pozabierasz, a mnie samą zostawisz!

STAŚ. Ha, będę miał towarzystwo a z ciebie cóż mi przyjdzie? nie umiesz ani grać w szachy, ani palić papierosów.

AŃDZIA. Przecież i ty także nie palisz.

STAŚ. Ba, teraz to mi nie pozwalają, ale w balonie będę wolny jak ptak, tam nikt mnie upominać nie będzie, i jeszcze jak powrócę z tej podróży, to we wszystkich gazetach napiszą: Słynny aeronauta, Stanisław Wroński, powrócił z pięciodziesięciodniowej wycieczki balonem, tak, tak, będę wielkim człowiekiem, wszyscy będą się za mną oglądali na ulicy, i kto wie, może jaki cesarz albo król zaprosi mnie do siebie na obiad, żebym mu opowiadał wrażenia z mojej podróży.

AŃDZIA. A mnie będziesz mógł wziąć na ten obiad, choćbym z tobą nie jeździła balonem?

STAŚ. Ciebie? a to poco?

AŃDZIA. Żebym się przypatrzyła, jak ten królewski dwór wygląda, ja taka ciekawa! w bajkach to zawsze tak ślicznie opisują! Mój Stasieczku, weź mnie, weź!

STAŚ. Także zachcianka! cóż ty się tak pchasz wszędzie, gdzie cię nie potrzeba!

AŃDZIA. Jakto „wszędzie”? Jeszcze mnie przecie nigdzie nie wzięłeś.

STAŚ. I nie wezmę cię, ładnieby wyglądało, żebym za sobą siostrę prowadził, a może jeszcze i niańkę do ciebie.

AŃDZIA (*obrzydona*). Bardzo przepraszam, bo do mnie niańki nie potrzeba. Ja się zawsze sama myję i ubieram, a znam kogoś takiego, co sobie nigdy sam szaliką zawiązać nie potrafi.

STAŚ (*z godnością*). Bo to nie jest rzeczą mężczyzny umieć wiązać kokardki, jak do warkocza. Nim pojedę

w podróż, to sobie kupię sześć getowych krawatek takich, jak starsi panowie noszą, i cylinder i laskę i wszystko.

AŃDZIA. A skąd weźmiesz pieniędzy?

STAŚ. Skąd? już ja się postaram, sprzedam naszą świnię.

AŃDZIA (*żywo*). Kiedy ja nie pozwalam! to przecie i moja świnią. Mama nam ją obojgu razem darowała.

STAŚ. O, o! będzie ci się kto pytał! Jeżeliś taka chciwa, że rodzonemu bratu na podróż żałujesz, to ci oddam połowę pieniędzy, mniejszą, boś ty mniejsza.

AŃDZIA. Ja nie chcę pieniędzy, nie potrzebuję żebyś sprzedawał moją świnię, bo ja ją lubię!

STAŚ. Ha, ha, ha! śliczny masz gust, winszuję ci.

AŃDZIA. Śliczny czy nie śliczny, ale ja mojej połowy nie sprzedam.

STAŚ. Jak ci się podoba, dobra jesteś siostra, kiedy wolisz, żebym ja w podróży z głodu umarł, niż żebyś ty świnię sprzedawała!

AŃDZIA. A ty jesteś dobry brat, chcesz sam wszędzie jeździć i balonem i do króla, a mnie każesz w domu siedzieć.

STAŚ. Żebyś wiedziała, że będziesz siedzieć, ja cię nigdzie nie wezmę boś tego nie warta.

Ciż SAMI, MAMA.

MATKA (*wcho-dząc*). Co znaczy ta ożywiona rozmowa? Ańdzia obciera oczy, Staś zaperzony! dzieci, o co wy się tak sprzecacie?...

AŃDZIA (*ze łzami*). A bo proszę mamusi, Staś jedzie balonem, a mnie nie chce brać z sobą...

STCŚ. Nie, bo proszę tylko, Ańdzia nie pozwala żebym na wydatki podróży sprzedał naszą świnię!

MATKA. Jakto? gdzie? kiedy Staś balonem jedzie? Dzieci! opamiętajcie się, co wy mówicie?...

AŃDZIA (*przekonana*). A, prawda Stasiu, że jeszcze nie jedziesz.

STAŚ (*strapiony*). Prawda, że nigdzie nie jadę...

MATKA. Fe! wstydźcie się: zacierzwiliście się jak dwa koguciki, z powodu takiej nedorzecznosci! Widzicie jak mało wam potrzeba do sprzeczki. Ludzie łamią sobie dopiero głowę nad wydoskonaleniem balonów, tak, żeby do podróży służyć mogły, może za sto lat wejdą w użycie, a wy się już dziś sprzecacie o pieniądze na podróż! Powiedzcież, czy to nie jest prawdziwa kłótnia o wiatr?

STAŚ (*zawstydzony*). Prawda mamusiu, że o wiatr; ja sam widzę teraz, że to śmiesznie, ale my zaczęliśmy mówić ot tak sobie, tylko w przypuszczeniu, i sam nie wiem jakim sposobem doszło do sprzeczki.

MATKA. Z pewnością takim sposobem, że od pierwszego słowa jedno drugiemu ani trochę ustąpić nie chciało. Upór i zapamiętanie zawsze zaślepiają tak, że sprzecząc się nie wiedzą nawet, jak cała sprzeczka śmiechu warta! Teraz gotowicie sami śmiać się z siebie, a przed chwilą pogniewaliście się na seryo, o puste słowa.

AŃDZIA. Już się mamusiu, o takie dzieciństwo nigdy się nie posprzeczamy!

MATKA. Ani o dzieciństwo, ani o rzecz ważną sprze-
czać się nie należy, każda sprzeczka jest złą, a więc uni-
kajcie ich moje dzieci.

Zasłona spada.

Nagoda

OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

— Józiu! nigdy ci Kasia takiej mowy nie przebaczy.

— Nic nie szkodzi — przerwał Tomcio — niech nam
Józio co jeszcze zabawnego powie.

Zaczęłam wtedy w dalszym ciągu krytykować, przy-
patrując się przez zgięte palce jak przez lornetkę.

— Fe! co za szkaradne obicie! jaki deseń brzydkil!
jakie kolory rażące! Nigdy nie mogłabym się tu pomie-
ścić. Gdzie stałyby moje trzy służące? a kochane pieski
moje żadnej nie miałyby wygody! Ten piec w dodatku
dymić musi.

Śmieliśmy się do rozpuku, gdy naraz weszła mama
z dwoma paniami. Nasza zabawa miała stać się rzeczy-
wistością. Były to lokatorki zwiedzające mieszkanie.

Na jedną z nich nie zwracaliśmy wcale uwagi, ale
druga młoda i ładna, z jasno-blond włosami, miała coś dla
nas pociągającego. Moje włosy tego samego niemal ko-
loru, tylko nie są tak długie i gęste jak...

Dobrze że zdążyłam się wstrzymać; byłabym przed
czasem zdradziła tajemnicę, o której dopiero na końcu
dowiedzieć się możecie.

Młoda osoba o której mowa, była w grubej żabobie,
z długim czarnym welonem; widzę ją jeszcze jak cudo-
wne zjawisko stojącą na progu. Musieliśmy śmiesznie
wyglądać w naszych przebraniach, bo młoda panna zwró-
ciła się do nas pytając z uśmiechem:

— Co to za rodzaj gry, moje dzieci?

— Podobnie jak panie oglądamy mieszkania — od-
parłam — to bardzo zabawne!

— Dzieci wszystko zabawnem znajdują — odczwała
się nasza mama ze smutkiem.

— W ich wieku robiłyśmy to samo — tłumaczyła
młoda panna. — Gdy matka moja wybierała się jechać za
ojcem do Indyi, cieszyły mnie przygotowania do podróży
czynione. Nie byłabym jej puściła, gdybym była mogła
przeczuć, że tak krótkie będą chwile wspólnego naszego
na tym świecie pobytu!

Przy tych słowach usta młodej osoby drżały od we-
wnętrznego wzruszenia. Mama spytała ze współczuciem,
czy biedna panienka straciła matkę?

Skinęła głowę i wskazała na żałobną suknię swoją.

— Powróciła po roku nieobecności z zarodem pier-
siowej choroby — dodała po chwili. — Pochowałam ją

przed miesiącem, biedna mama nie mogła przeżyć śmier-
ci ojca!

Pragnąc ukryć łzy płynące po jej twarzy, młoda pa-
nienka przyciągnęła mnie do siebie i ręką ujętą w czarną
rękawiczką, głaskała włosy moje.

— Jak się nazywasz kochanko? — zapytała.

— Zosia G. — odpowiedziałam.

— Zosia, ładne imię, a nazwisko twoje nie jest mi
obce. Czy słynny doktor G. w Londynie nie jest przy-
padkiem krewnym waszym?

— To nasz stryj Franciszek — zawołaliśmy jedno-
głośnie.

— Doktor G. jest rodzonym bratem męża mego —
objaśniła mama.

— Co za dziwny zbieg okoliczności! — mówiła nie-
znajoma. — On właśnie leczył moją matkę w ostatniej
chorobie. Nie mam słów na wyrażenie wdzięczności mo-
jej za troskliwą jego nad nami opiekę.

Oczy młodej panny po tem wyznaniu napełniły się
na nowo łzami. Józio, który nie wyobrażał sobie aby do-
rosłe osoby płakać mogły, zbliżył się do niej prędko mi-
mo długiej spódnicy w którą płątały się jego małe nóżki,
a ciągnąc za suknię, mówił słodkim głosem:

— Nie płacz! my jedziemy do wuja Tomasza, jak
będziesz grzeczną to przyjedziesz do nas.

Młoda panienka uśmiechnęła się i pocałowała
chłopca.

— Czy istotnie ten mały kawaler udaje się do Lon-
dynu?

Mama przytwardziła.

— W takim razie zobaczmy się kochanku. Przy
sposobności odwiedzę waszego stryja.

Towarzyszka jej obojrzawszy mieszkanie nagliła
o pośpiech. Młoda dziewczyna skłoniła się nam przyja-
źnie na pożegnanie i wyszła za starszą panią. Lokal nie
musiał się podobać, gdyż nie przyszły więcej.

Po ich odejściu mama żałowała, że nie zapytała
młodej osoby o jej nazwisko. My w tym względzie nie
byliśmy w kłopotcie; mieliśmy już gotowe dla niej miano:

Pięknej złotowłosej panienki.

TRZEJ MALI PODRÓŻNI.

Starać się obłąd będę prowadzić bez zboczeń dalsze
opowiadanie moje. Nie łatwe to zadanie (zwłaszcza gdy
się jest cokolwiek roztrzępaną), każdą rzecz właściwie wy-
razić, pomijając spostrzeżenia własne i wydarzenia, które
dopiero na końcu powinny być znane. Teraz, gdy wiem, ile
to pracy kosztuje, będę bardzo wdzięczna ludziom, piszą-
cym książki. Zdaje się, czytając ich opowiadania, że nic
nad to łatwiejszego; że wystarcza wziąć pióro do ręki, ale
dopiero spróbowawszy samemu, można trud ich należycie
ocenić.

(d. c. n.)

SZARADA.

*Pierwsze z trzecim, gdy komu posiadać się zdarzy,
W jednej chwili by pragnął usunąć z swej twarzy.
Drugie z trzecim, zwierzętom w walce pomoc niesie
Albo głosem donośnym rozbrzmiewa po lesie.
A co także rzecz dziwna, a jednak prawdziwa,
Przy bieliźnie się zdarza, na ulicach bywa.
Wszystko, służąc za pokarm, tą sławą się chlubi,
Że je w różnej postaci, prawie każdy lubi.*

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

| | | |
|---|---|---|
| 5 | 5 | 6 |
| 5 | | 5 |
| 6 | 5 | 5 |

W powyższym kwadracie rozdzielić 36 groszy, zostawiając środkowy kwadracik pusty, w ten sposób aby w każdym kierunku wypadła przez dodawanie liczba 16. Wiele więc groszy wypada na kradraciki narożne, a wiele na środkowe?

KWADRAT MAGICZNY.

ułożył Amador.

a a a a
o o o o
t k k t
t r j n

Pora roku.
Napój z ryżu.
Rzeka w Hiszpanii.
Ryba.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady: Żółw.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Baobab.
- 2) Ali.
- 3) Bonaparte.
- 4) Izar.
- 5) Ataman.
- 6) Golkonda.
- 7) Opat.
- 8) Rolnik.
- 9) Aeronauta.

Babia Góra — Biernatka.

Kwadratu magicznego:

w o d a
o w a d
d a m a
a d a m

Skrzynka do listów.

Wspominaliśmy jak nam przyjemnie, gdy młodzi czytelnicy własnoręcznym listem odnoszą się do nas w interesie prenumeraty „Wieczorów.” Takich osobistych zażądań cały szereg otrzymaliśmy w tym czasie. Józef Gum. zapisałiśmy do grona prenumeratorów naszych i nie wątpimy, że stosunek z nią trwałym i serdecznym

będzie, skoro dziś już jest dla nas tak życzliwe usposobiona. Najłatwiej zaś nam zawsze porozumieć się z czytelnikami, mającymi w nas zaufanie.

Znana nam z najlepszej strony Sikorka ujęła nas użytkiem, zrobionym z pieniędzy, ofiarowanych jej na choinkę. Dowodzi to, że korzyść umysłową ceni wyżej nad chwilową przyjemność. Przypadające jej nagrody za roboty i wypracowanie konkursowe przesłane zostały.

Dla H. Raf. z Końskich zapisałiśmy stosownie do jego życzenia, całoroczną prenumeratę „Wieczorów.”

Uczyniliśmy również w tej mierze zadość żądaniu Elcka, którego piękne, czytelne pismo zasługuje na pochwałę.

Miedzy tymi, którzy trafne nadesłali rozwiązanie zadań i łamigłówek, wymienić należy: Elcka, Stefana Pl. z Kalisza Juliana Wa. z ulicy Żelaznej i Jana Szm. który nadto przysłał łamigłówekę przez siebie ułożoną; nie omieszkaamy z niej korzystać, jeśli tylko do „Wieczorów” nadawać się będzie.

Piotruś żąda, iżby pierwsza przejrzała jego wypracowanie i złożyła Redakcyi wtedy dopiero, gdy je uznam godnem konkursu. Miły mi jest ten dowód zaufania i mniemam, że go nie zawiodę. Bądź tedy dobrej myśli, Piotrusiu, nie wstydz się za twoją pracę choćby była mniej udatną.

Zgadłaś Marylko z pod Kutna, że list twój z życzeniami noworocznymi nie doszedł rąk moich, inaczej nie byłabyś długo czekała na odpowiedź. Akuratność w korespondencji jest obowiązkiem wszystkich dobrze wychowanych ludzi, a cóż dopiero małej ptaszyni, dla której utrzymanie stosunków listownych z wami największą stanowi przyjemność. Wszak tym sposobem już nietylko do okienek waszych, jak to bywa z wiosną, ale pukam do waszych serduszek, przekonywam się, czy one pełne dobrych, szlachetnych uczuć, czy nie zagnieżdził się w nich przypadkiem brzydki robak zawiści, lub samolubstwa, z którym zaraz do walki stanąć jestem gotową, aby was od niego uchronić.

Pokora przebijają niebiosą, a tem więcej zjednywa pobłażliwie dla was usposobioną ptaszynę. Uznajesz się winną, Pocieszko Rodziców i sądzisz, że otrzymasz odemnie burę za długie milczenie twoje. Otóż omyliłaś się, moja droga; jaskółka nikomu buri nie daje, niczego nie wymaga, a tylko za każdy dowód życzliwej o niej pamięci szczerze wdzięczną być umie. Zresztą jakże mogłabym gniewać się na dobrą dziewczynkę, która w chwilach świątecznych klei książeczki z obrazkami na to, aby zarówno jak zabawki przez nią odłożone i spódniczka jej ręką uszyta, służyły na rozrywkę i odzież biednym dzieciom. Z takimi litościwymi serduszkami ludzie wszyscy w zgodzie żyć muszą, a tem więcej życzliwa dla was

Jaskółka.

WIELKI ATLAS GEOGRAFICZNY.

ZE SKOROWIDZEM NAZW

OPRACOWANY WEDŁUG NAJNOWSZYCH ŹRÓDEŁ POD REDAKCYĄ

Wacława Nałkowskiego i Andrzeja Świętochowskiego

Zeszyt II.

Księgarska cena Atlasu ustanowioną zostaje na 25 rs. Aby jednak ułatwić sobie możność uregulowania nakładu tak kosztownego wydawnictwa, stosownie do ilości zapotrzebowań trudno przewidzieć się dających, otwiera się niniejszem prenumerata na Atlas Z CENĄ ZNIŻONĄ dla wnoszących przedpłatę z góry na całość, albo za pojedyncze zeszyty, a mianowicie za cały Atlas bez względu na ilość zeszytów tylko 16 rs., które można także wnieść w 2 ratach po 8 rs. (przy zapisaniu się i przy odbiorze 6 zeszytu), lub za każdy zeszyt 80 kop. Redakcyja i Administracyja w Warszawie, Nowy Świat Nr. 47, w domu własnym.